

SPRAWY OTWARTE

WILNO

20
GR.

DWUTYGODNIK • KULTURALNO • SPOŁECZNY •

Nr. 9

1—15 LIPIEC 1937 r.

Rok I

Kongres Maryański

Pod sztandarem Maryi, za przewodem Namiestnika Chrystusowego do walki z bezbożnym komunizmem.

HASŁO KONGRESU

U tronu Maryj — Matki Miłosierdzia w Ostrej Bramie w Wilnie, w dniach 1-ym, 2-im i 3-im lipca b. r. zgromadzi się cała północno-wschodnia Polska... Stanie u stóp Jej Lud wierny, staną Władze i Armia, staną Zakony, Kapłani i Arcypasterze — u stóp swej Królowej i Matki — Zwycięskiej Bogarodzicy.

Dziesięć lat upływa, jak na królewskie Jej skronie włożyliśmy koronę, ślubując ufność niezłomną i miłość gorącą, a Synowi Jej wiarę najgłębszą i posłuszeństwo.

Najwyższe Władze Ojczyzny naszej, sławetni Rajcowie grodu, dzielni Żołnierze i ich Wodzowie oraz nieprzeliczone rzesze w karnych szeregach stanęły w on czas przed majestatem Njjaśniejszej Królowej Polski i Niebios Monarchini.

Nie od dziesięciu jednak lat Nepokolana jest Władczynią ziem naszych, 550 lat w tym roku upływa od czasu gdy świętobliwa Królowa na polskim tronie, Jadwiga — oddała swą rękę Księżciu tej ziemi, a serce wraz z swą wiarą gorącą tej krainie i jej ludowi.

Lat 550 upływa od chwili wejścia Litwy przez łaskę chrztu świętego w rodzinę narodów chrześcijańskich. Tedy to na dolinie księcia Swintoroga, na gruzach upadłego bałwochwalstwa, stanęła pierwsza świątynia katolicka, obecna Bazylika Wileńska, a obok tytułu Trójcy Przenajświętszej, nadano jej tytuł Maryi, Przebłogosławionej Matki Zbawiciela i Świętego Stanisława, Biskupa-Męczennika, Polaka.

Moment zręków królewskich i dwóch wolnych narodów, uświęcony został objęciem w wieczyste władanie krainy naszej przez Królowę Niebios. W półtora wieku

później na murach biskupa Tabora nad Ostrą Bramą zajaśnieje wdzięczne Oblicze Matki Zbawiciela, a ta przemożna niebios Pani swym płaszczem macierzyńskim okryje Wilno i całą krainę.

Przejdą wieki, a Marya będzie Strażniczką grodu i kraju naszego. Od Moskali i Szwedów zasłoni je swą potężną prawicą Ściągając będzie lud wierny do stóp swoich Lalja Donu Jagiellonów, anielski Królówic

Kazimierz, na jej cześć śpiewać będzie «Dnia każdego...» tęsknotą serca czystego za niebieską ojczyzną. Popłyną do niej tłumy po błogosławieństwo, otuchę, po łez otarcie — popłyną z chwałbą błaganiem, podzięką..

W mrokach niewoli stuletniej błagać ją będą pokolenia całe o światło i wytrwanie. A gdy Ojczyzna z martwych powstanie, dziękować Jej będą «za Polskę» wolną.

Nie ustają i teraz wrogie knowania. Odwieczny wróg zbawienia rodu ludzkiego występuje przeciw Królestwu Chrystusowemu w sercach i Ojczyźnie naszej. Bezbożny komunizm zagraża podwalinom cywilizacji zachodniej i chrześcijańskiej. Niebieskie i piekielne potęgi zmagają się o panowanie nad światem.

Śpieszmy więc do tronu Ostrobramskiej Pani jak Ojcowie i Praojcowie nasi. W błaskach Jej majestatu zaczerpnijmy światła siły i prężności do stawiania męznego oporu wrogom Wiary i Ojczyzny.

Wileński Kongres i nabożeństwa na cześć Maryj ukażą nam Najświętszą Panią jako Królowę wszechświata i serc. Nasze szczęście doczesne i wieczne, jak i dobrobyt nasz polityczny i społeczny — związany jest jak najściślej z Jej Imieniem, które jest wielką tajemnicą zwycięstwa.

Głos Namiestnika Chrystusowego w liście okólnym o komunizmie będzie nam hasłem do walki o dobra najwyższe — o Wiarę i Ojczyznę miłą — będzie drogowskazem do pomyślności doczesnej i rzetelnego postępu współbraci przy każdym warsztacie pracy.

Wilno — w uroczystość N. M. P. Wspomożenia Wiernych — 1937 r.



W dniach 1—3 lipca odbył się w Wilnie Kongres Maryański Archidiecezji Wileńskiej.

Nie kusząc się o lepsze oddanie wzniosłego charakteru tego Kongresu, drukujemy tylko jego deklarację ideową.

Wystawa Mariologiczna w Wilnie

Bardzo ciekawe i nad wyraz udane przedsięwzięcie.

Okazało się, że osobliwe korytarze i krużganki kościoła św. Ducha są wspaniałym miejscem dla religijnych wystaw.

Okazało się, że kult N. M. Panny zasługuje na baczną uwagę nawet u inteligencji — tak, wydawałoby się, odsuniętej od spraw i zagadnień związanych religią.

Wystawę zainicjował i zorganizował dyr. Bolesław Zynda. Należy mu się całkowite uznanie za dokonanie tego dzieła, które śmiało może nazwać swoim. Wypada też wspomnieć o wybitnej współpracy personelu księgarni św. Wojciecha.

Odrzuć trzeba stwierdzić, że niemało usług wyświadcza zwiędającym doskonale przygotowana księga inwentarzowa.

Księga ta posiada dużą wartość, jest

ona niejako busolą — ogólnym drogowskazem dla każdego, kto chce dokładnie obejrzyć wszystkie eksponaty. Oczywiście, że dokładniej spełniły rolę jakiś, wydany drukiem, przewodnik — któryby w sposób treściwy i jasny komentował całość Wystawy. Być może w przyszłości o wydanie takiego przewodniczka nie będzie trudno.

Uderzającą cechą Wystawy jest jej, pewnego rodzaju, «nierówność». Chodzi o to, że całość ma charakter zlepków, dorywczo zbieranych. Oczywiście, że ta «dorywczość» i brak całkowitej wyrazistości jest wypadkową wielu czynników.

Bo nie trzeba zapominać o tym, że jest to I-sza Wystawa tego rodzaju w Wilnie, a dalej, że skromne środki pieniężne nie zawsze wystarczają, że do ciągłości i planowości potrzebne jest doświadczenie i do-

bra wola wielu ludzi i t. p.

Mimo te zastrzeżenia, jeszcze raz stwierdzamy, że Wystawa swoje zadanie zilustrowania kultu N. M. Panny na naszych ziemiach spełniła zupełnie zadowalająco.

O poszczególnych eksponatach trudno by w tym miejscu wyczerpująco pisać. Bowiem jest ich dużo, i wszystkie są ciekawe. Wystawa obejmuje kilkanaście działów, — ciekawy i godny uwagi jest dział reprodukcji cudownych obrazów Najświętszej Panny w kościołach na ziemiach północno-wschodnich. (Np. cudowny obraz N. M. w Eysymontach Wielkich lub obraz z Żyrowic!) Wysoce artystyczny jest zbiorek z teki graficznej prof. Hoppena — albo rysunki piórkiem Kurzawińskiego (szczególnie Ostrej Bramy — lub murów Wilna!) ponadto zwraca na siebie uwagę zwiedzających miedzio-

ryt ks. Kan. Jasińskiego, obok tego liczne obrazki — relikwie, dewocjonała, książki, modlitewniki słowem cała masa szczegółów, które nie opisywać a tylko na miejscu kontemplować można. Rozrzuca ładny ołtarzyk, wykonany rękami polskich powstańców, odsiadujących więzienie carskie.

Rozczula do reszty zabawy rysunek «Walerka typu żebraka z XIX w. spod Ostrej Bramy».

Poważni i zamyśleni wychodzą ludzie z Wystawy. Poważni i podniesieni na duchu. Oto w kulcie religijnym do N. M. P. przejawiał się wewnętrzny niepokój człowieka nurt tęsknoty do Piękna i Miłości, tak żywo uzmysłowionej w najcudowniejszej postaci, najcudowniejszej Panią.

Jarosław Odolski.

Zygmunt Mycielski

ROMANSE

(fragmenty)

Jestem z rodziny tych włóczków, co mogą iść w ciemny, słotny deszcz, przez błoto.

Gdy wieje wiatr, ten cienki, ukośny, i sadza nam krople na czole, na policzkach, na nosie; mogą to być drogi górski i drogi nadmorskie. Ale mogą też być i proste gościńce, i brzydkie domy przy gościńcach, a w deszczu zmieszany dym fabryk i stukot młotów, i nuda, i kurz co siedzi u progów, byle świat był prosty i daleki, świat maruderów, co idą przed siebie, w kraj wędrowek, w kraj, co wynieśli z dzieciństwa.

W taki kraj idę sam, zupełnie sam, bo nie znalazłem dotąd towarzysza.

Czasami widzę go. Przychodzi geniusz młody, z wichrem roztrzepanych włosów, nieporządny, i porywa mnie na te zwykłe drogi, piechotę. Wychodzimy wtedy przypadkiem, o zmroku, i wszystko dzieje się samo przez się, oczywiście jak największa funkcja życiowa. Opadają liście przyzwyczajęń, to jest naturalny, wodotrysk, skarb niezasłużony, wrodzony. Nie pracą, a, wszystko darem, a jest lekko, choć błoto się lepi, śpi się byle gdzie i jak; idzie się, i najpodlejsze miejsce jest pałacem, legowiskiem, na które padamy bez czucia, zmęczeniu marszem.

Do przedmieść jeszcze trzy wiorsty.

Przyjdiesz, czy pójdę sam, czy—wcale nie dojdę?

Gdy tak chodziłem, nie wiedziałem, a teraz za późno. Daj jeszcze napić się choćby rozmów, odegnąć resztę i wszystko.

Chodźcie wszyscy, nachylcie się nad zwierciadłem, niech każdy znajdzie trochę siebie odbitego. Wołam i pusto, a choćby i przyszli, to cóż? Wasza reakcja? Choćby się spotkał i z ogniem i z tłumem, czy chodzi o podnięcie nerwu? Na waszych oczach przemieni człowieka w jaszczurkę, to jak uderzyć w miedź. Uderzam, i krople spływają, jak zwykły deszcz do rynny. Jeśli chcę by mi w jakikolwiek sposób służono, to chcę tego bez pracy, bez wysiłku z mej strony. I to jest niepoczytalnością.

Tytan. Tytan, psia krew.

Dwa rytmy mogą być tytaniczne. Jedno zdanie.

Ale trzeba jednego życia.

Tak, tak.

Nie jesteście łatwi. Żądacie życia. Całego życia. Bez reszty. Bez milimetra reszty. A ja myślałem, że się wykpię. Że pójdę na spacer, wrócę, i wszystko będzie gotowe.

Kłać się chce.

To temperatura każe tworzyć, bo nie ustaje codzienny mechanizm myślowy, wieczne źródło samotnej bezsenności.

Chłopiec nie jest dręczony pragnieniem. Dręczony jest wzruszeniem, siłą ciała, pijaństwem pragnienia i rozkoszy. Ale mężczyzna już wie, co to funkcja myślenia. Wtedy poznaje otchłanie czarnych nocy samotnych. Mówię o naturach namiętnych. Namiętność jest cechą myśli i ciała.

Nie umiem myśleć w towarzystwie. Z długich godzin majonych fantazją składam słowa, zanim umrę.

Ludzie nie myślą, że umrą. Grzebiąc innych wyłączają siebie z ich kręgu.

Podobnie, jak bogaty wyłącza siebie z nędzy, podobnie, jak krytykując postępowanie innych, człowiek siebie jednego i «tu obecnych» wyłącza z kręgu głupoty i niewiedzy, — podobnie człowiek żywy wyłącza siebie z pośród skazanych na śmierć. Jest w tym instynkt samozachowawczy życia. Żywy nie wytrzymuje towarzystwa śmierci.

«Umrę, więc cóż z tego. Wiem». Ta myśl jest za przykra, za mało na nią rady i odpowiedzi.

Człowiek więc przechodzi nad nią do porządku dziennego. Bo gdyby przyjął śmierć za towarzysza swych godzin, to nie mógłby żyć. Wszystko traciłoby sens. Trzebaby być niesłuchaniem silnym, wiecznym, jak bloki kamienia. Trzebaby być jednym z tych którzy murują dzieła trwalsze od życia, mogące wzbudzać przez długi czas, u kilku, silny dreszcz. Dzieła, wśród których założeniu może się kłaść ukośny promień zachodzącego słońca, a dawać im tony zmienne, jak góróm.

Widziałem te blaski na katedrach we Francji, na kilku szczytach które rosły w miarę jak pociągi mnie wiozły od nich w nizinę. Chartres, Reims, Strasburg, Bourges i Amiens tak rosną, gdy się oddalają.

Ludzie nie wytrzymują codziennego obcowania ze śmiercią.

Któryś tam, miliardowy człowiek, patrzy na świat. Nie mogę się tym przerażać. Powstałby krzyk, który, jak śmiech, jak płacz, nie wyraża się słowem. Podobnie muzyki nie wyraża się słowem. Przerażenie światem kończy się logicznie śmiercią, szybszą śmiercią.

Nikt się nie zdziwi, gdy powiem, że nie wiem czym jest śmierć. Mózg ją konstatuje, natura unika, coś, jak z tym wstępem do próżni. Przecistawiamy jej trwałość. Patrząc na stary, podarty pantofel mówię mu nieraz: «kto wie. Możesz mnie przeżyć jak nic». Wtedy ten pantofel staje mi się jakimś olbrzymim, granitowym pantoflem, i podziwiam go, że mógłby i pięć wieków leżeć na miejscu, on. Ta historia jest dla mnie równie silnym dowodem na nieśmiertelność duszy ludzkiej jak «Rozprawa» Kartezjusza, jak «Fedon» Platona. Nie należy stąd wyciągać wniosku, że Rozprawa ta i Fedon, to stare pantofle. Człowiek, wiecznie zmienną formą rzeczy przez siebie tworzonych, dąży do utrwalenia i przekazywania siebie. Niespokojny, jeżeli nie może sam budować, to przynajmniej, od wieki wieków, ryje na murach swoje nazwiska.

Po dziś dzień paskudzi ściany pałaców i kolejowych prewetów. Inny pisze w rogu «Rembrandt». Popudka jest ta sama. Rozczulają mnie zawsze listy Plinjusza do Tacyta, zebrzące o jak najobszerniejszą wzmiankę. Wielu nosi w kieszeni jakiś wycinek z gazety z własnym nazwiskiem.

Wszystko to jest tęsknotą do nieśmiertelności. Aż — po fotografii robione w bazarach a la minute; to wszystko jest ucieczką od śmierci. W republice Ateńskiej mówiono otwarcie i szczycono się: pragnieniem sławy. W tym małym państewku ludzie mieli niebywały talent nazywania rzeczy po imieniu!

Pies - jamnik, jaskółka, pajak czy tygrys, żyją podobno chwilą obecną. A przytym, wiadomo, że pamiętają. Coś w tem jest: świadomość. Czyli: możliwość kombinacji, dedukcji i pragnień, zamierzeń. Zresztą, poco tak daleko sięgać? Człowiek też zapomina, są tacy którzy przez dwadzieścia pięć lat uderzają głową o ten sam kant framugi. Może to być uporczywym brakiem uwagi, ale częściej bywa brakiem zastanowienia i świadomości. Chcę przez to powiedzieć, że dusza ludzka jest «nierówna», Duszą—nazywam stopień świadomości. Różnicę między Platonem i Goethem, a «człowiekiem ulicy» w Nowym Yorku, oracem i jakimkolwiek «tłumem». Zresztą, wśród ludzi o znacznych ambicjach można się czuć jeszcze nikle. W salonach, gdzie rozmowa obraca się koniecznie wokoło ostatniej sztuki: Prostu, ludzie nie żyją i nie myślą sami. Jednostki tworzą wszystko za

nich, a oni rodzą się, chodzą, ubierają, jedzą i giną, pomnożywszy się trochę, przywdziewając w międzyczasie strzępy formuł. ochłapy cudzych rezultatów, dążeń i walk. Nawet fanatyzm masowy może to potwierdzić.

Człowiek patrzy z okna na ulicę i widzi ruch. To wszystko jest nie do wiary. Dziś przeciągały pochody umundurowane. Drzewa były zielone, mundury mieli niebieskie, z jakiejś lekkiej materji, jak koszule sportowe, i każdy niósł sztandar. Ręce i twarze sunęły rzędami płam, chorągwie były białoczerwone. Widzicie stąd—jakie to kolorowe. Dużo dziś takich pochodów w Niemczech czy w Italji. Uderzył mnie obraz wiosny, obraz czwórek i tłumy, co tworzył ramę objętą drzewami. Niema w tym symbolu, niema nawet estetyki kolorystycznej. Jest obraz wryty w pamięci, którego prawdy wyobraźnia nie zastąpi.

Są natury, które dla jednego przeżycia oddadzą «cały świat», po duszę włącznie czyli, po życie. Nazywają takich ludzi, «Awanturnicy».

Conrad, Kipling, Byron, musieli przeżywać «naprawdę». Wszystko to sprawiało wiele zamieszania autorom, a, w tak zwanej epoce «romantycznej» było furją żądy czynu, szczęśliwą, gdy kończyła się w kałamarzu. Jan Sebastian Bach nie był awanturnikiem. Jego wszystkie przeżycia szły naturalną funkcją, odrazu i poprostu, na papier. Prostota, nie sztuki, ale tej funkcji, równała się prostocie zwykłych zawodów rolnika i pasterza, co plecie koszyki trzciny na ser z koziego mleka. Widziałem takich ludzi, u stóp najwspanialszych gór, siedzących na kamieniu. Pachnące krzewy i kwiaty, trzody schodzące do zagród, gdy słońce oświecało z dołu aż sine od purpury kamienie. Rybacy tak samo. Wiedzą co łapia sieciami u brzegu; wielki ocean ich żywi, jak ziemia oracza. Ziemia, łąki górskie i te fale śpiewione nie są wzruszeniem, ale życiem tych ludzi, jak pisanie muzyki było życiem Bacha.

Co ci?

Z przyływem idą suche fale śmierci Giniemy tak w masie. Z ciszy idą głosy towarzyskie. Kłopoty, zmartwienia, troski sadowią się na falach ruchomego czasu.

ECHA RADIOWE

Radio w żadnym wypadku nie może być teatrem, jako specyficzny, autonomiczny dział sztuki nie może podporządkowywać się obcom prawom i włączyć na cudze podwórko, obwarowane i tak zresztą przez zasięki własnych koncepcyj.

Prawem Radia jest ekskluzywna forma—poddana ściśle wymogom akustyki i przystosowana do specjalnych zdolności odbiorczych słuchacza.

To jest kancan zasadniczy. (Inna rzecz, że zadaniem Radia jest tę zdolność odbiorczą, słuchających wyostrzać i sublimować niejako).

Sprawcą tych elementarnych uwag (przechodzących już w zwykłe truizmy) była transmisja z dn. 26 czerwca z poczty.

Była to typowa audycja o zupełnie nieradiowym obliczu i charakterze.

Kiepski teatr i nic więcej. Typowa schematyczna zabawka dla idiotów.

Wyprane chemicznie z «radiofonicznych» elementów drażniło swoją barbażyńsko-prymitywną formą.

Drażniło tymbardziej, że odczuwało się duży wysiłek sprawodawcy radiowego i staranne przygotowanie transmisji.

Okazuje się, że tylko praca, w tym wypadku, nie wystarcza, Nieodzowną się staje «rasowa intuicja» reportera i «subtelna» znajomość radia.

Po tych gorzkich pigułkach ruszeni sumieniem musimy stwierdzić (po przeanalizowaniu treści przeprowadzonych wywiadów i dialogów z urzędnikami poczty, po «ama-

W tych proporcjach, gdy ciągle ginie świat, uderza o dno, odbija, i życie tryska na jeszcze kilkadziesiąt wieków... Tam patrzę, nachylony, i słyszę jak piasek spada. W mijających sekundach płynie ten czas, brat swawolny wieczności.

Boimy się pojęć, które nas przerastają. Zostawiamy jej filozofom, uczonym. Skrywamy je obojętnością, zapomnieniem i nieświadomością. A one pchają się natrętnie w podstawy przesądu. Trudno żyć za pan brat z wiecznością, śmiercią i przestworą miarą doskonałości. Nie znaczą to jednak, by te pojęcia nie trącały nas w każdej chwili swym tętnem. Te rzeczy są, nawet gdy, pijąc chłodny napój w dzień letni, żyjesz, i płynie chwila. Jej miarę nosisz w kamizelce. Co z tego? Wyniki jasno: wygrywasz lub przegrywasz życie.

Co to znaczą?

Czy czcisz bózka wysiłku, czy bez wysiłku.

Mogłem to wszystko ująć w dialog, czy formę ściślejszą. Jakiś Piotr do nieistniejącego Stefana. Byłby komentował, krytykował, objaśniał. Ale zostawiam jak jest, kosą uderzam w kamień, czy ziemię jak kosiarz, na łące przyrody.

Od opisów jej aż tętni, od liryki aż zalew nas bierze, od tych zachodów i wschodów. Bo też chmury patetyczne strzępią niebo, bociany chojdają się na długich łapach, klekocą w zatokach lasu. Wrony po oraniu skaczą, skowronki lecą do nieba. Więcej? To nagonię kwiatnych łąk i ziół pachnących nasypię, sterceć będą żółte paciorki, dzwónki i kaczeńce. Nimfy, jak i obrazów Tycjana, całowane w lesie przez gitarzystę, siedzące na igliwiu, po którym śpisz jest chodząc w butach. Skały nadmorskie i skały górskie, sterzące w niebie, obganiane chmurami. To wszystko niepokoi. Wystarczy jedno słowo, a przyroda się leje przez papier, jak w wiklinach, nad rzeką. Łatwo przypędzić śnieg przez łązawę szyby, gdy w izbie gorąco. Na zadymki, na dno prywatnych zamyśleń. Wystarczy wtedy leżeć u brzegu strumienia. W tak zwanej i «ciszy letniej» jest tyle szelestów, chlupów i śpiewań. Człowiek okręcony płaszczem-dzie gdzieindziej.

Zygmunt Mycielski

torsku» czytając ze swoich rękopisów), że dla pewnej kasty słuchaczy transmisja musiała się podobać.

(Zadecydowały tu względy natury dydaktycznej—i opisowej). I jeszcze jedno.

Dlaczego—transmisja z życia? Przecież wszystko to było tak sztuczne, że znacznie lepiej wypadłoby w studio?

Zupełnie inaczej było z transmisją z kiermaszu w Budślawiu.

Bez wątpienia, mieliśmy do czynienia z nową całkiem udaną pozycją poczynań Wileńskiej Rozgłośni.

Nowy wypad w teren okazał się «nową» zdobyczą.

Okazało się, że Wileńszczyzna ma niezwykle warunki do przekazania głosem radia swojego ciekawego oblicza.

Gałość transmisji wypadła niezłe. Technicznie—zupełnie dobrze.

Podczas audycji zasłyszec się dały dwa ciekawe «dziwy» radiowe, dwa odkrycia—jakże, «wstrząsające» radiowe szczekanie wiejskiego psa i cudowne perspektywicznie wchodzenie w tło—naddźwiękowej procesji.

Dwa te epizody godne były utrwalenia na taśmie!

Konkurs muzyczny chórów, orkiestr i różnych zespołów dalekiej prowincji znacznie mniej zadowolili. Wileńszczyzna nie jest krajem umuzykalnionej ludności—to trudno.

Peportaż przeprowadzony dość gładko i z dyskrecją.

COSBY

Jerzy Trzcziński

Na ciągle aktualny temat

Przed paru miesiącami odbył się historyczny zjazd adwokatów polskich, na którym nasza palestra postanowiła rozpocząć akcję ograniczenia ilości żydów w swym zawodzie. Wysunięto postulat adwokackiego „*numerus clausus*”.

Na to odpowiedziały sfery żydowskie i t. zw. demokratyczne, usiłując poderwać wiarę w szczerotę intencji „*maenarów*”. Pojawiały się głosy wskazujące na rzekomy egoizm narodowy adwokatury polskiej, a demagogicznie zarzucające nieraz wprost chęć obrony wysokich zarobków przez zmniejszenie liczby adwokatów.

Nie próbując polemizować z demagogią, niektórych pism, trzeba przyznać jednak, że sprawy ściśle gospodarcze wyraziły się w pierwszej mierze w uchwale zjazdu. Słusznym bowiem postulatem jest żądanie pracy, możliwości zarobkowania dla swoich, ale sens uchwały zjazdowej nie tutaj jest najważniejszy, tak samo, jak waga zagadnienia żydowskiego w sądownictwie nie na kwestiach ekonomicznych polega.

Cała sprawa żydowska wogóle, ma swoje dwa najistotniejsze oblicza: jedno kulturalne, a drugie polityczne. Gospodarcze — jest w tej chwili szczególnie wyraźne, ale zasadniczo jest ono na dalszym planie.

Tak się przedstawia zagadnienie żydowskie w „najgrubszym” skrócie. Jak wyraża się ono w jednym zawodzie — w zawodzie adwokackim?

Wpływ na opinię

Adwokat nie jest jedynie czynnikiem mającym na celu ułatwić sądowi odnalezienie prawdy wyrażającej się w faktach. Nie można go rozumieć jako mechanizm, który przedstawiając przed trybunałem czy sędzią przebieg wydarzeń poznanych przezeń odmiennym niż przez prokuratora sposobem pomoże zrekonstruować to, co naprawdę się wydarzyło. To jest niby najważniejsze zadanie, ale jest jeszcze i inne. Adwokat oświetla fakty, podkreśla ich związek z danym środowiskiem, ludźmi i epoką. Czyny to w myśl własnych poglądów, maluje świat tak, jak go widzi. I to nie jest bez znaczenia. Przeciwnie, te wszystkie rzeczy mają wpływ. Może mniejszy bezpośrednio na orzecznictwo, ale za to duży na kształtowanie się pewnych pojęć prawnych zarówno w społeczeństwie, jak i w umysłach sędziów.

Najbardziej to występuje w sprawach karnych, gdzie wszelki czyn kolidujący z prawem zasadniczo koliduje również z etyką. Przynajmniej tak powinno być. Czy kwestia zabójstwa, czy spędnienia płodu, pojedynku, fałszerstwa — to w większości wypadków zagadnienia, których rozstrzygnięcie musi być związane z tym, co o tym mówi światopogląd katolicki.

Tutaj też wyrasta do wielkich rozmiarów rola adwokata — żyda, a więc człowieka z rasy hołdującej zupełnie innym zasadom, niż my. On inaczej widzi, w innym świetle przedstawia tego typu przestępstwa. Wynika to z talmudycznego wychowania pokoleń żydowskich.

Sędzia może się zgadzać lub nie zgadzać z jego wywodami, sędzia kieruje się własnym sumieniem, prawem (w szczególności jednak ma pewne granice, w których to samo prawo może ilościowo rozmaicie stosować).

Gdy jednak słucha pięćdziesiąt razy przemówienia adwokata — żyda wybielającego np. spędnienie płodu, tłumaczącego to zjawisko warunkami materialnymi, prądami panującymi w społeczeństwie — swoista ta interpretacja nie może pozostać bez wpływu na kształtowanie się jego poglądów i na orzecznictwo w następstwach. Kilkanaście czy kilkadziesiąt argumentów podobnych w takiej samej sprawie to przecież propaganda! A który człowiek jej nie ulega.

Jeżeli w pewnych okresach sądy, na podstawie tych samych ustaw, w wypadkach jednakowych przestępstw, wyrokuja bardzo odmiennie, to jest to nie tylko wynikiem różności, jeśli tak można powiedzieć, sumień sędziowskich, ale również wynikiem nastrojów panujących w społeczeństwie i rządzących nim prądów umysłowych.

Współtwórcą tych prądów i nastrojów jest adwokat. I dlatego kwestia jego pochodzenia ze środowiska takiej, czy innej kultury nie może być dla nas obojętna.

Adwokat a klient

Istnieje jeszcze inna płaszczyzna, na której zarysowuje się sprawa żydowskich adwokatów. To kwestia stosunku adwokata do klienta i wpływu adwokata na klienta.

Zadaniem adwokata jest jaknajlepiej przyczynić się do wykrycia prawdy. Ponieważ nie jest to bezpłatne dochodzi zagadnienie zarobku.

Kto zna metody żydów, wtedy gdy chodzi o zdobycie jaknajwiększych zysków, zrozumie, że żydowski adwokat chcąc być na tym punkcie zgodnym z prawidłami obowiązującej u nas etyki musi w sobie zwalczyć instynkt handlarza. Czy jest to możliwe we wszystkich wypadkach należy wątpić. Świadczą o tym sznury t. zw. „*naganiaczy*” przed lokalami sądów, świadczą również ciągnące się w nieskończoność procesy w sprawach cywilnych.

A dalej — adwokat wnika w szereg tajemnic prywatnych życia ludzkiego. Jest tu

Wiktor Trościanko

Tradycja przez ć

Wśród licznych słów, które mają nas chwytać za serce, wylewać łezkę z oczu — słów wzdychających, jest jedno — *taran*. Słowo — *lza*, słowo — *przeszłość* sentymalna, słowo: *tradycja*.

My, wilnianie, ciepło jego zwiększamy przez maleńkie, malusieńkie podkreślenie — i wychodzi *tradycja*. Ta „*tradycja* panie dobrodziej”, „*tradycja* mój drogi”, „*tradycja*ja proszę państwa”.

Gdziekolwiek coś się robi: jakieś kiermasze, święta cywilne, obchody — zaraz skrupulatnie zainteresowani szukają, czy nie uda się nagiąć do tego, co było przedtem, a jeśli nie — to już następnym powtórzeniem teje imprezy będzie poprzedzone słowem „*tradycyjny*”.

Czasem pojęcie to, jest samo w sobie atrakcyjne i konieczne tak, że dużo rzeczy niepotrzebnych się robi bo tak każe tradycja.

Traditio — podanie — zawiera sens wiążący je z czemś realnem: podaje ktoś komuś. *Sens powiązania personalnego, miejscowego i rzeczowego jest zasadniczą cechą wyrazu tradycja*.

Nasz sens obecny z całym arsenałem sentymentu musi ulec pewnej rewizji; musimy wyrazowi temu znowu nadać cechę rzeczową. Ze sfery wzruszeń musimy przenieść się w sferę zdarzeń. Po dokonaniu tego procesu będziemy stosować to pojęcie tylko wtedy, gdy wymagać tego będzie interes narodowy, gospodarczy i artystyczny.

Do przeszłości, w którą lubimy zwracać, musimy odnieść się, jak do czegoś istniejącego dziś; rozumiejsi przeżytym czasem będziemy mogli tę przeszłość mądrzej wykorzystywać. Może wtedy znikną pomysły przywdziewania dzisiejszych wojewodów stroju kontuszowego, skoro z nim wiąże się tyle rzeczy tragicznych. Okres największej

w sytuacji podobnej do lekarza. Staje się doradcą, kieruje wielu postępkami ludzkimi, czynami, które mogą bardzo często znajdować się w sferze zagadnień politycznych czy gospodarczych. A tu wpływ żyda jest bezwzględnie niepożądany.

Te wszystkie czynniki nadają sprawie żydów w adwokaturze pierwszorzędne znaczenie. Dlatego też dobrze się stało, że adwokaci — Polacy, postanowili wreszcie sprawę tę uregulować.

Teraz czekamy dalszego klarowania się problemu żydowskiego w adwokaturze.

Czekamy i obserwujemy.

Jerzy Trzcziński.

Legaciszki — najmiłsze wakacje

Choćbyśmy nie wiem jak reklamowali różne polskie uzdrowiska i kolonie wypoczynkowe, gdybyśmy tak sami wyjeżdżali na wakacje i mieli kilka miejscowości do wyboru, to niewątpliwie zostalibyśmy w Wileńszczyźnie. Zapewne, trzeba poznać Polskę, trzeba poznać morze, ale jeśli chodzi o najprzyjemniejszy i swobodny odpoczynek, nie trzeba jechać daleko. O kilkadziesiąt kilometrów od Wilna ukrył się, i stąd nieznaną jest jeszcze wszystkim, najbardziej uroczy zakątek naszego kraju — Legaciszki, wypoczynkowa kolonia akademicka. Wskutek swej tanioci jest to istne dobrodziejstwo, dla akademików wileńskich.

Trudno dla Legaciszek znaleźć odpowiednie określenie. Są one niezwykle. Niezwykle jest położenie nad granicą litewską, niezwykle są te przejażdżki kajakami, które nierzadko kończą się na Litwie, niezwykle góry piaskowe, opalone i gorące, od lipcowego słońca, niezwykle doliny głębokie z strumieniami, stawami, młynami. No, ale jeśli co jest niezwykle, to przede wszystkim, samo życie legaciszkańskie. I dlatego ci wszyscy, którzy na dzień, czy dwa, przyjeżdżają do Legaciszek, nie mogą się oswoić, chodzą osowiali, tak jakby się znaleźli w egzotycznym kraju. Kuracjusze w Legaciszkach to rodzina. Rodzina, która się od kilku lat zjeżdża co roku na wakacje, ma swoje pewne tradycje, które sama tylko rozumie.

Któż rzadzi właściwie Legaciszkami? Mówiąc prawdę panuje w nich anarchia. Oczywiście nie taka anarchia, jak w Madrycie czy Barcelonie, ale w każdym bądź razie jacy by oni nie byli, anarchiści są. Celuje w tej anarchii zwłaszcza klub „*Kuku Na Muniu*”, organizacja, według określenia członków klubu, — filantropijna. Filantropija ta polegać ma podobno na tym, że członkowie klubu, przez cały czas swego pobytu w Legaciszkach, poświęcają się, dla reszty kuracjuszków, starając się rozweselić ich, jak tylko mogą. Coprawda, niejednokrotnie, niezorganizowani kuracjusze skarżą się, że za dużo jest tej filantropijności. Klub „*K. K. N. M.*” hołduje dziwnym zasadom: Głosi on np. sentencje „czemuż tak długie są dni, gdy tak piękne są noce” i zgodnie z tą sentencją zmienia porządek doby: Poranek zaczyna się o g. 8 wieczór, południe jest o 12 w nocy, popołudnie zaś o 5 rano. „*Giełna noc*” to 11 rano. Oczywiście, że „popołudniu” członkowie klubu zabawiają się urządzeniem koncertów fortepianowych, konkursów sportowych, lub składaniem wizyt.

A więc rzeczywiście anarchia. Każdy z kierowników Legaciszek zaraz po otwarciu stara się zgnieść anarchię i wprowadzić dyktaturę. Udziela więc upomnień i grozi wydaleniem. Wtedy to klub rozpoczyna, z podwójną energią, prowadzić działalność filantropijną, a zarazem porusza wszelkie sprężyny dyplomatyczne by utemperować kierownika. Klub nie waha się przed niczym i pertraktuje nawet z Prezesem Br. Pomoocy. Po kilku dniach kierownik zrezygnowany, nie ma sił na walkę, a jeszcze po kilku dniach, klub zaczyna się orientować, że kierownik to właściwie szalenie miły człowiek, i że nie można mu utrudniać pracy ale trzeba pomegać. Przy końcu sezonu kierownik zazwyczaj sercecznie ścisiska członków „*K. K. N. M.*” a na przyszły rok jest już „członkiem honorowym”.

O droga anarchio; obyś się rodziła na kamieniu.

I w tym roku sądząc po otwarciu w Legaciszkach będzie panować anarchia.

Kto jeszcze niezna Legaciszek i legaciszkańskich anarchistów, niechże się spieszy, bo sezon ucieka.

hau, hau, hau.

Przed wycieczką.

— Halo! Czy zapakowałeś krem do opalania?

— Nie Stachu! Zupełnie zapomniałem go kupić.

— No to zaczekaj chwilkę, a ja skoczę tu obok do składu aptecznego i wnet wracam.

W składzie aptecznym.

Poproszę pudełko kremu.

— Służę panu. Czy mogę zaoferować szanownemu panu puder, wodę kolońską, doskonałe zyletki.

— Dziękuję, narazie tylko to.

— Jeżeli pan dotąd nie wie, to śmiem przypomnieć, że ostatnio zaprowadziliśmy też dział **pamiątek regionalnych**.

Gdyby szanowny pan o czemś zapomniał — prosimy dzwonić **Władysław Narbut**, tel. 4-72. A wszelkie artykuły wchodzące w zakres naszej kompetencji polecamy w największym wyborze.

W domu.

Wiesz Halinko, ale u tego Narbuta ekspedycja tak miła i uprzejma, że odtąd będę stale kupował w **Składzie Aptecznym Wł. Narbut Wilno, Ś-to Jańska 11, tel. 4-72** i wszystkim go polecam.

kontuszowości — to czasy saskie, czasy zrywanych sejmów, bigoterii, ciemnoty, obżarstwa i zdrady. To właśnie może się doskonale zmieścić w utartym słowie: tradycja, jeśli nie nadamy jej realnych cech.

Do przeszłości musimy nawiązywać z pewnym interesem — nigdy z leżką! Dlatego możemy z prawdziwą przyjemnością czytać dzieła historyczne Zofji Kossak, ale z prawdziwą przykrością patrzeć na obrazy Wojciecha Kossaka.

Tam przeszłość jest wykorzystana dla celów artystycznych. Autorka „*Pożogi*” i „*Krzyżowców*” buduje trwałą wartość — nową ze starej — Wojciech Kossak nic nie buduje, a przeszłość wykorzystuje. U pierwszej traditio jest nawiązaniem bliskiej łączności z ubiegłymi wiekami, u drugiego tradycja ma zastąpić samodzielną, nową wartość.

Takich przykładów możnaby więcej przytoczyć.

Choćby te drzewka, lub stare drzewa! Czasem je ścinają. I nie nazywajmy tego zbrodnią, nie organizujmy krucjat, lub ankiet, bo często interes obecny góruje nad sentymentem. *Tysiącletnie drzewo należy ściąć, jeżeli zabiera ono miejsce konieczne na szkołę, lub dom robotniczy*. Tak samo rzecz się ma w wypadku potrzeby artystycznej. Jeżeli stare topole zasłaniają wysokiej wartości artystycznej budynek — należy je również ściąć.

Nasi przodkowie byli mniej sentymalni. Na miejscach zniczów i bogów pogańskich postawili kościoły, a święte dęby wycięli. Tego wymagały nowe czasy, nowe pojęcia. Dziś jesteśmy przeżuleni i sentymalni, dziś zaraz zjawia się tradycja, która potrafi nieraz, silniej od pęt, powstrzymać od pracy twórczej.

A więc jak?

Zniszczyć tradycję? Oczywiście nie! Byłoby to hasło bolszewickie. Niszczenie przeszłości, zacieranie śladów wszystkich dróg po których nie przeszedł Lenin, lub Marx — to nic innego tylko głupota, która srogo się mści. Tradycji nie należy niszczyć — tylko ją oczyścić z westchnień i łez, z niepotrzebnych zewnętrznych gestów. Należy traktować ją jako most, po którym na budowę czasów obecnych będziemy nieśli przydatny materiał z przeszłości.

I nie żałujmy, jeśli most przywali sobą zamarłe w czasie prawdy.

Nie żałujmy! Naodwrot — życzy sobie szczerze i gorąco, by nowi ludzie, którzy nowe życie budować będą przeszli po nas bez wzruszeń i skrupułów.

Pamiętajmy, że jesteśmy dla przyszłości materiałem a nie tradycją.

Wiktor Trościanko

Wydawnictwo „Spraw Otwartych” najmocniej przeprasza swych P. T. Czytelników i Prenumeratorów za nieregularne wychodzenie i doręczanie ostatnich numerów. O powodach tego, szeroko się nie będziemy rozpisywali, by nie psuć Sz. Państwu wakacyjnego humoru. W każdym bądź razie, jak to się mówi, lekko nie jest. Zapewniamy jednak wszystkich naszych Przyjaciół, że przyczyną naszej nieregularności nie jest niedbalstwo. To też prosimy wszystkich, z jednej strony, o cierpliwość, z drugiej zaś, o pomoc przez popularyzowanie naszego pisma.

Czytajcie wileńskie pisma narodowe!

Rozpowszechniajcie „Sprawy Otwarte”!

Tylko o jeden mały krok *)

Pan Łukaszewicz nie tylko unika ze mną polemiki w kwestiach zasadniczych, w szczególności też nie ze mną polemizuje.

Pisze p. Łukaszewicz, że mój poprzedni artykuł w 7 numerze „Spr. Otw.”, „omawiał przyczyny tarć między narodowcami a org. katol. u. U. S. B.”. Nie proszę pana. W artykule „Polityk” przyczyną niezgody” zastanawiałem się nad przyczynami niezgody, między niektórymi członkami katol. org., a narodowcami.

Niech p. Łukaszewicz zwróci uwagę, że jest tylko o mały krok oddalony od przekraczania cudzych słów.

Opowiada p. Łukaszewicz, o tym, jak mu proponowałem objęcie „Spraw Otwartych”. Ponieważ p. Ł. niezupełnie prawdziwie przedstawił mój „konkretny projekt” przypomnę mu jak to było. Słyszając w pewnej organizacji narzekania pana Łukaszewicza na narodowców, poprosiłem go chwilę rozmowy, i przedstawiłem mu jak bardzo szkodliwe są „kłótnie rodzinne”. Zapytywałem czy nie można by doprowadzić do jakiegoś porozumienia. Nadawała się okazja, bo powstało nowe pismo „Sprawy Otwarte”, o charakterze katolicko-narodowym. Nie porozumiewałem się z Komitetem Redakcyjnym „S. O.”, ale gdyby niektórzy z członków katol. org., interesujący się dziennikarstwem, chcieliby z tym pismem współpracować, nie tylko redakcyjnie ale i administracyjnie, miałem nadzieję, że cały dotychczasowy komitet zgodziłby się na powiększenie.

Była więc to raczej rozmowa koleżeńska niż oficjalny „konkretny projekt”.

Na zapytanie p. Łukaszewicza, odpowiedziałem, że ludzie którzyby z nami współpracowali, mieliby zupełną swobodę: nawet w rzeczowym krytykowaniu Obozu Narodowego. Wychodziłem z założenia, że przy wspólnej pracy, przy wzajemnej sympatii taka krytyka, czy autokrytyka, może być tylko pożyteczna. Lojalnie jednak zwróciłem uwagę p. Łukaszewiczowi, że nie uważając się za twórcę „Spr. Otw.”, dopóki będzie jego wydawcą, nie zgodzę się, by było ono organem partii, przeciwnej Obozowi Narodowemu. Nie oznaczało to jednak, by miało ono być pismem Obozu Narodowego. Tak, jak wtedy podczas świąt Wielkiejnocy, „Sprawy Otwarte” były pismem niezależnych narodowców, o czym p. Łuka-

szewicz z ust moich usłyszał (tak jest i dzisiaj). Tylko w tym wypadku, gdyby cały Komitet Redakcyjny podporządkował się organizacyjnie Obozowi Narodowemu, „Sprawy Otwarte” mogłyby być jego organem.

Jeśli p. Łukaszewicz nie zrozumiał, albo zapomniał o tym, co mu mówiłem, nie mam nic mu do zarzucenia. Jeśli jednak Szanowny Kali naciągał fakty dla „zrobienia” argumentu, czy dowcipu, to chcę mu zwrócić uwagę, że jest tylko o jeden mały krok od mijania się z prawdą.

Co zaś do „nieobjęcia” przez pana Łukaszewicza „Spraw Otwartych”, to równie dobrze mógł powiedzieć, że, po ustąpieniu ks. Windsoru, nie raczył on objąć tronu angielskiego.

Pisze pan Łukaszewicz o mnie: „Śmieszny jest z tem zmartwieniem, że w organizacjach katolickich panuje atmosfera zgody i wzajemnego zaufania”. Napewno byłbym śmieszny, gdybym miał takie zmartwienia. Ale ja się wcale nie martwię tylko cieszę: „I powiedźmy sobie szczerze, ten nastrój jest piękny. I może być wzorem dla niejednej organizacji”. Martwię się natomiast w takich wypadkach, kiedy to p. Dembiński przechylał się już wyraźnie na stronę komunizmu, a członkowie „Odrodzenia”, na skutek „zaufania”, nie mieli odwagi go skrytykować i powstrzymać na tej drodze. Martwię się z takich wypadków, jakie miały miejsce w „Odrodzeniu”, po ustąpieniu p. Dembińskiego, kiedy to p. Kapała „niedwuznaczny już politycznie”, odgrywał rolę św. Mikołaja, a wszystkim z tego powodu było b. wesoło.

Pisze pan Łukaszewicz o mnie: „Boleje biedak nad tem, że nie ma u nas „zawodowej” opozycji, w której sam zawsze celował, powodując raz po raz kryzysy organizacyjne”. Mniejsza z tym, że nigdzie nie bolałem nad brakiem „zawodowej opozycji” w org. katol. Chodzi o co innego. Nie miałem zaszczytu pracować z p. Łukaszewiczem w żadnej organizacji, to też mówię o mojej „pracy opozycyjnej” powtarza zapewne to, co „nachwytał się” od moich „przyjaciół”. W każdym bądź razie, wykazuje p. Łukaszewicz wysoką lekkoomyślność powtarzając to, co pierwszy lepszy mu powiedział. Jeśli pan Łukaszewicz oskarża narodowców o oszczerstwa niechże zwróci uwagę, że tylko o jeden mały krok jest oddalony od tego, co zarzuca innym.

Pisze p. Łukaszewicz o mnie: „Jego pięknej polityki, która uszlachetnia i hartuje, organizację katolickie U. S. B., nie uprawiały i uprawiać nie

będą”. Dlaczego pan, panie Łukaszewicz polemizując z kimś innym, ciągle ma do mnie pretensje? Ja nigdzie nie mówiłem, by org. katol. miały prowadzić politykę Obozu Narodowego. Wręcz przeciwnie, podkreślałem, że tak org. katol. jak ich zarządy powinny zerwać z wszelką polityką. Jeśli zaś chodzi o członków org. katol., nie bądź pan zarozumiały i nie mów w ich imieniu. Mam nadzieję, że będą oni uprawiać raczej moją piękną politykę, niż pana brzydka.

„Trakt Batorego” pisze: „Sprawy Otwarte” są pismem, które usiłowało zrobić dobry interes na pielgrzymce Jasnogórskiej. Na Nr. 6 tego pisma złożyła pieniądze komisja pielgrzymkowa, zależna od komitetu lwowskiego (t. zw. rozłamowcy pielgrzymkowi). Sprzedawano potem ten numer przed kościołami, a dochód był przeznaczony na pielgrzymkę. Mam wrażenie, że na takiej transakcji lepiej wyszły partyjne „Sprawy Otwarte”, aniżeli religijna pielgrzymka.”

Rzecz przedstawiała się następująco: Tegoroczny Wileński Komitet Pielgrzymkowy, chcąc uczcić pielgrzymkę akademicką, postanowił wydać jednodniówkę, której zredagowanie powierzył mi. W międzyczasie dowiedziano się, że pieniądze na które liczone są nie do podjęcia. Wobec braku funduszy zrezygnowano z wydania tej jednodniówki. Ponieważ wiadziano, że numer 6 „Spr. Otw.” będzie poświęcony pielgrzymce, Komitet postanowił go ozdobić trzema kliszami i płacąc za papier, za 2000 egzemplarzy powyżej naszego normalnego nakładu, kolportował go na własny rachunek. Jeśli więc chodzi o nasze zyski, to chyba polegały one na tym, że gdy komitet sprzedawał swoje 2000 egz. „Spraw Otwartych” po 10 gr., nasze egzemplarze sprzedawane były w kioskach po 20 gr. Jak czytelnicy myślą, czy dużo ludzi chciało je kupować po naszej cenie?

Ale widzicie panowie—tych wszystkich szczegółów mogliście się dowiedzieć, albo w Komitecie, albo od tych członków komitetu, którzy należą do org. katol. Sytuacja o tyle jest teraz nieprzyjemna, że to moje sprostowanie nie dojdzie do wszystkich czytelników „Słowa” i niektórzy z nich będą rzeczywiście uważali nas za ludzi „targujących w kościele”.

Od czego jesteście panowie, w tym wypadku, o krok tylko oddaleni, przykro mi jest nawet mówić. Niezmiernie interesujące są zachwyty „Trakt Batorego” nad jednym z naszych publicystów, p. Wacławem Jastrzębcem. „Trakt Batorego” przeu-

kował nawet jeden z jego artykułów, że „Sprawy Otwarte”. Cieszyłoby nas to, gdyby rzeczywiście mieli oni tyle, ile i my, szacunku do p. Wacława Jastrzębca. Niestety, wydaje nam się, że było to tylko posunięcie dyplomatyczne. Mimo, iż mówiąc o p. Jastrzębcu, jako o najwybitniejszym publicyście „Spraw Otwartych”, „Trakt Batorego” niechcąco zroził ukłon i w stosunku do innych naszych publicystów, uważając ich tylko za wybitnych—rozumiemy, że to był tylko niezręczny zwrot. Chodziło zapewne o to, że jeden jest tylko możliwy publicysta, p. Jastrzębiec—reszta to tumany. Prawda?

Czy to przypadkiem nie brzydka intryga? Czy to nie chęć pokłócenia Komitetu Red. „Spraw Otwartych”? Utrzymuje nas w tym przekonaniu jeden fakt. Pan Łukaszewicz w swym artykule pisze z patosem. „Nie, panie h. p., my się nie uważamy za „nacionalistów”, tylko za „narodowców”... za chwilę zaś przedrukowuje i podpisuje się obiema rękami pod artykułem, którego tytuł sam brzmi: „Nacionalizm jest wrogiem kapitalizmu”.

P. Wacław Jastrzębiec, który już kilka artykułów napisał na tematy nacionalizmu, wyraźnie spreycyzował swoje stanowisko, oczywiście jako nacionalista. Gdzież więc logika? Widocznie p. Łukaszewicz nie czytał nawet tytułu przedrukowanego artykułu?

Jeżeli się panowie oskarża kogoś o dywersję, trzeba się strzec, by oskarżenia tego nie można było odwrócić przeciw oskarżycielowi.

Nie dla polemiki, ani dla sprostowań zamieszczam tych kilka zestawień. Chodzi mi o to, że po ukazaniu się mego artykułu, w 7 Nr. „Spraw Otwartych”, powiedziano o nim, że jest napastliwy i niesprawiedliwy.

Jeśli się oskarża kogoś o brak etyki, a przy nawiązywaniu współpracy żąda od innych (czyż nie pycha!) ścisłego wprowadzenia tejże etyki katolickiej w życie, to trzeba, nie powiem, byc czystym jak kryształ, ale przynajmniej wolnym od poważniejszych zarzutów. A tymczasem ileż „nieścisłości” w jednym artykule p. Łukaszewicza, ileż braku szlachetności w jednym numerze „Trakt Batorego”? Jeśli tak jest w prasie, cóż będziemy mówić o niekontrolowanych rozmowach prywatnych? Trzeba zejść panowie, ze stolca sędziowskiego! Jeszcze czas!

A czy moja „dywersja” nie była konieczną?
h. p.

Pamiętajmy!!!

o zakupie ekwipunku na wycieczki i letniska,

a więc:

Pledy
Walizki i nesesery
Przybory toaletowe
Kostiumy kąpielowe
i plażowe
Leżaki i hamaki

Artykuły Sportowe

Te i inne niezbędne drobiazgi mają.

**BRACIA
JABŁKOWSCY.**



Drukarnia i Księgarnia św. WOJCIECHA

Oddział Wileński Sp. z o. o.

Wilno, Dominikańska 4. Telef. 8-45. P. K. O. 80.649.

Posiada stale na składzie bogaty sortyment książek ze wszystkich dziedzin wiedzy. Książki w językach obcych sprowadza szybko na zamówienia.

Przyjmuje prenumeraty czasopism krajowych i zagranicznych. Poleca również specjalnie wydawnictwa turystyczne, jak: przewodniki, mapy, albumy i widokówki.

Księgarnia kompletuje i zestawia biblioteki prywatne, stowarzyszeniowe i samorządowe.

Ekspedycja sumienna i odwrotna.

ZAKŁAD KRAWIECKI

Zygmunt Sakowicz

były majster firm petersburskich
przyjmuje obstalunki w zakresie
krawiectwa wchodzące

Ceny bardzo niskie

Wilno, Jagiellońska 6 m. 19.

Marne święta bez Krupnika!

KRUPNIK BEZ GOTOWANIA
I FILTROWANIA

sporządzisz przy pomocy zaprawy
ziołowo - korzennej. Flakon 1 zł.

wystarcza na 1 — 3 litry wódki.

POLECA SKŁAD APTECZNY

Władysława Trubiły

LUDWISARSKA 12 (róg Tatarskiej)

Tamże wody kolońskie na wagę.
78 przecudnych zapachów.

O. MATKIEWICZ

Wilno, Zamkowa 12

Poleca: zegary i zegarki, oraz

wyroby jubilerskie. Tamże

pracownia solidnej naprawy

zegarków.

„Dworek Kresowy”

Regionalna kawiarnia i paszteciarnia

Wilno, ul. Śniadeckich 1

Specjalność wina i młody litewskie

KELNERKI PODAJĄ W STROJACH REGIONALNYCH.

W. CHARYTONOWICZ

Apteczny Dom H.

Wilno, ul. Mickiewicza 7,

tel. 9-71.

Pamiętki z Wilna

można nabyć w dużym
wyborze

Fr. Antosewicz

Wilno, ul. Wileńska 25.

Z. WOŁEJKO

POLSKA PRACOWNIA

Czapek i Kapeluszy

Wilno, ul. Wileńska 10.

Pamiętki wileńskie i widokówki

poleca

„ELEONORA”

skład materiałów piśmiennych

Wilno, ul. Świętojańska 1.

K. Gorzuchowski

Zamkowa 9.

Poleca zegarki szwajcarskich

fabryk wyregulowane z gwa-

rancją. Wyroby złote i srebrne,

papierońskie, najnowsze fasony.

Solidna naprawa.

Ceny konkurencyjne.

Kawiarnia i Mleczarnia

Parowa

Józefa HEJBERA

Wilno, ul. Mickiewicza Nr. 9.

FILIE: ul. Nowogródzka 7

„ Zamkowa 14

„ Szopena 6

„ Ostrobramska 5

Ceny ogłoszeń: Za 45 milimetrów 1-no szpaltowych na ostatniej stronie 7 zł. W tekście o 50% drożej. Prenumerata roczna 4 zł., pół-roczna 2 zł., kwartalna 1 zł.

Adres Redakcji i Administracji: Wilno, ul. Jagiellońska 6 m. 19.

Redakcja i Administracja czynne we wtorki i piątki od godz. 18 do 20.